

Tak nam mało brak do szczęścia

Prosta sprawa, przyjemnie jest kołysać się wśród fal, gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal, co z wdziękiem wyśpiewała nam onegdaj Helena Grossówna, ale prawdziwe rozkosze biorą się nie z czej obserwacji, lecz z czynu. To machając pagajem, wiosłując zażarcie lub przynajmniej komenderując z sumiennością sternika, pozwalamy zwykłym okolicznościom przyrody awansować do rangi niezwykłych; to wędrując tam i z powrotem niczym Dawid Tomala po złoto w chodzie sportowym na pięćdziesiąt kilometrów podczas Igrzysk Olimpijskich w Tokio, napychamy się wolnością od wszelkich traum codziennych i tych wracających od święta; to gnając z wywieszonym jęczorem na starej kolarzówce albo pykając w teqball czy inną pelotkę, na pewniaka wprawiamy się w błogostan, albo skacząc w dal na zamkniętym stadionie KS Korona, co go mieli rozebrać, ale na razie stoi sobie wśród parków i skał, budzimy do życia kohorty endorfin i opieramy się symptomom kwasicy mleczanowej; to wałąc na przelaz z psem, przez chaszczę i wądoły, cieszymy się jak głupki, bośmy ruszyli z miejsca, wyszli światu naprzeciw, pchnęli na nowe tory to, co w nas mogło w przeciągu nicnierobienia utknąć, zaczopować się i ukraść choćby uśmiezek lekki z ust.

Czyn, który daje przyjemność, wcale nie musi być wzniosły jak sekwoja, a niechby i nasz prasłowiański dąb, co opiera się walcowi deweloperki z trasą szybkiego tramwaju na dobitkę. Nie powinien być również zamaszystym gestem zapowiedziany, żadnych paróweczek w kotle spraw większych i mniejszych nie mamy zamiaru wyciągać, i wcale nie ma znaczenia, czy konie nas

słyszają, czy nie. Ot, euforiom w skali makro łącno zda się trud mikro, spacerek po dzielni, wygibas na trzepaku, z dziecięciami przejazdka zaułkiem, co się go przystemplowało „nudny, szary, brak akcji”. A tu i wre akcja, i liszajom szarości zapomniało się wyleźć, i nuda wypchnięta poza kadr – na bliższym planie fajność ogólna, wacha się bzy, co to kwitną, bo maje, wiewiórczę w pyszczku mamy przenosi się do dziupli przestronniejszej, kwiczoł karmi kwiczołka, grubiućki buldożek macha znad kierownicy swojego SUV-a, na działkach jabłuszka pełne snów, i nie mówcie, że jabłuszka śnić nie potrafią, bo w każdej chwili nauczyć się mogą.

Maje majami, ale, panie, co z zimą zrobić, która zło-wieszczo klapie nad Wisłą i siedzi tak pół roku z okładem, jak tu z niej wykroić byle pajdkę serotoniny, skoro dym zwiesza się jak gacie mokre na sznurze i odpuścić nie chce, gdzie szukać pociechy w te dżdżyste popołudnia, gdy przerdzewiały drypek chciałby obryzgać cię mieszaniną ropy i śnieżno-błotnistej brei? Bzy co najwyżej dogorywają gdzieś za winklem, szkielet trzepaka tkwi niczym dzida w końskim boku, a o buldożku nawet nie ma co mówić – wóz zamknął w garażu i pochrapuje przed telewizorem. Niby nadziei znikąd, ale jakby się tak bliżej przypatrzeć, to i te listopady polubić się dadzą, domki zbijają się w kupę jak wróble na kablach wysokiego napięcia, na skwerze grzyby wychylają łebki, a latarnie promienieją niczym słońko na Wybrzeżu Amalfitańskim. Tu nie trzeba do szczęścia niczego prócz chwili ruchu, co rozproszy czapę smogu i da namiastkę lepszych czasów: samo myślenie o przyjemnościach przyjemnościom toruje drogę. A jak już ta droga wolna, to cóż prostszego niż hycnięcie na godzinę, na dwie, z pętli na osiedle, z osiedla do lasu, cośmy go zawsze mieli za niewart uwagi, a zgubić się w nim można jak ojciec Dilberta w supermarkecie i nawet komisarz Alex ze swoim mokrym nosem nam nie pomoże, a jak już wychyniemy na jakimś odludziu, to dlaczego nie wejść do lokalnego sklepu o heterogenicznym asortymencie, i dlaczego nie kupić sobie niebieskiej wiatrówki z używki, bo mżyć nie przestaje, i jak już opatulimy się nią, podreptać na najbliższy dworzec i pokontemplować relikty małej architektury kolejowej.

Owszem, aktywność wszelakiego sortu wytrącić ma nas z wygodnictwa. Filcowym bamboszom mówimy kategorię nie, pilot do tiwi łąduje w kasetce zamkniętej na klucz, który to polknęliśmy wraz z ostatnim łykiem herbatki, a herbatce też w sumie musimy podziękować, co najwyżej skrócić wskażmy jej do termosu. No i fru – w trasę. Okej, powiecie, męka, mordęga, prawdziwy dramat ludzki, haluksy dają popalić, wędzarnia wdziera się za pazuchę, do rozkoszy dalej niż do Jakucka, łojezu, wracam pod kołdrę. Coś się jednak dziać zaczyna w mięśniach, coś w ścięgnach,

skrzepy rozpryskują się i balsamowacieją, po godzinie wlew życiowych atrakcji stabilizuje się na poziomach niebosiężnych, Polki i Polacy nie chcą przestać truchtać, ringo, serso i bujane po korso bez przerw, bez końców. Jak mawiał klasyk: kto nie spaceruje, nie ma na twarzy banana. Jak mawiali inni: nie ciągasz ciała tam i nazad – szczęścia nie zaznasz ni w ząb; tkanek męczenie – rychle spełnienie; tylko lemingi olewają treningi. W ślad za wykazem mądrości ludowych kroczą statystyki lekarskie, dodające tym, co ćwiczą się w systematycznych aktywnościach, parę, może i paręnaście latek do prze hulania, a to wprawdzie samo w sobie radością nie trąca, lecz im więcej zostanie w mięśniu, tym perspektywy rozleglejsze, nie ma to tamto.

Zalety cielesnych wyczynów w kombinacji z byciem-w-świecie (bo przyznacie: taka siłka też daje radę, czy tam curling z kręglami, ale dla ducha jakby z tych pompek skromniejsza strawa) mnożą się jak Żabki, wszyscyśmy lasi na to, żeby żyć fajniej, zdrowiej i w ogóle lepiej, niż to zostało nam przeznaczone w jakimś uogólnionym planie, cośmy go niby podpisywali, meldując się na Ziemi. No chyba że należymy akurat do gatunku Fumów turystycznych, które „uważają, że głównym ich zajęciem jest wypoczywanie, w związku z czym usiłują wypoczywać z całych sił i bardzo je to męczy, ale ponieważ jedyną formą działania po zmęczeniu powinno być wypoczywanie, więc znów wypoczywają, co je bardzo męczy, i tak w kółko”. Bromba puka się w różowitkie czoło, Kajetan Chrumps z Kotem Makawitym uśmiechają się pod wąsem, a Fikandra stać tylko na rumieniec znad szala; Fumy – jak wiadomo, zwane także Fumikami lub Fumkami – turystyczna pasja pociąga co najwyżej stacjonarnie. Jeśli trzeba udać się gdzieś własnonożnie, to chowają się pod pierzyny, ale jeśli mowa o przygotowywaniu jajek na twardo, komponowaniu instalacji z konserw czy napawaniu się ideą wczasów i wczasowości, to co innego – Fumy przepychają się, nie oszczędzając sobie ani innym „przysłowiowych bodiczków”. Do krytykowania są Fumy pierwsze, bo mam, daleko jeszcze? jak stąd teraz wrócimy, skoro nam ikarus zwiał? co mi tu sypiesz tym piaskiem? ała, tam są pokrzywy! – a do dialogu przekonania nie mają, bo i po co mają mieć, skoro mądrością emanują na pół galaktyki.

Dobrze, powiecie, skoro i tak „na ogół Fumy wędrują utartymi szlakami turystycznymi”, to strata mała i szans na zetknięcie się z ich wygodnictwem mniej niż zero, bo wam bliższa opcja najbliższa, rozrysowana gdzieś między hasiokiem a okolicznymi łąkami, gdzie ciało pracuje równie dziarsko jak na najwytworniejszej promenadzie, zażywa podobnych uciech i produkuje porównywalną dozę energii dla siebie i otoczenia. Niemniej

fumiaste ciągoty nie są obce najwytrwalszym; ani żylasty dziadzio, co popyla półmaratony w kaszkieciku, ani czerstwa babunia na rampie wrotkarskiej, ani wnuczęta, kuzynostwo i sąsiedzi z bloku nie mogą spać spokojnie. Czerwona lampka leniucha zapala się w najmniej spodziewanym momencie i wymaga interwencji radykalnych. Co tam tiwi, co tam haluksy i burość za oknem, tu idzie o lenia immanentnego, który, wypierany w otchłanie nieświadomości, wraca i futerkiem otula mięśnie, onieśmielając je do imentu, obezwładniając wolę i zamiast kołysać ciała wśród fal, kołysze je do snu. A Fumy spać lubią prawie tak bardzo, jak narzekać.

Skorośmy ustalili, że wypoczywanie mężczy, zmęczenie daje satysfakcję, a satysfakcja sprawia, że wypoczywamy, to właściwie najlepiej siedzieć na czterech literach i czekać, aż mama zrobi nam śniadanko. Filozofowanie też daje dużo radochy, a zwalanie odpowiedzialności i pracy na innych – chyba jeszcze więcej. A jednak jest coś w tym wielkim poruszeniu, gdy po przechadzce lżej, weselej, sensowniej i wcale nie musi nam do tego powiewać oud, delikatnie muskając naszą skórę, o czym w natchnionym geście marzył Roland Barthes, ani halny czy inna bora, w końcu i tak dawno zabudowaliśmy wszystkie korytarze powietrzne w miastach, więc o wietrze to możemy co najwyżej poopowiadać wnukom jak o lodach bambino i marmoladzie w bloku. Nawet jeśli Fumy wyjadą nam z tymi jajami na twardo i porozrzucają skorupki gdzie bądź, nie tracimy wewnętrznych potrzeb. Tak jak roześmiane dziewczęta w białych sukienkach, które w *Zapomnianej melodii* wiosłują do taktu: „I tak uroczco, tak ochoczo serce bije w takt, gdy jest pogoda, szumi woda, tak nam mało brak do szczęścia!”.